

dr Tomasz Kozłowski  
Katedra Edukacji i Nowych Mediów  
Wydział Nauk Społecznych  
Collegium Da Vinci, Poznań

## Szkolny doradca życia

Wokół szkoły narosło wiele mitów. Może zabrzmieć to kontrowersyjnie, ale jeden z najpoważniejszych zakłada, że szkoła przygotowuje nas do dorosłości. Być może jest do tego oficjalnie powołana, ale nierozmijanie się pięknie brzmiących założeń z praktyką to stosunkowo rzadki luksus.

W rzeczywistości polskiej edukacji jest podobnie. Teoretycy tzw. paradygmatu konfliktu w socjologii zakładają, że możemy ewentualnie rozważyć trzy pesymistyczne warianty (jeden gorszy od drugiego). Po pierwsze – szkoła próbuje przygotować do życia, ale nigdy jej się to nie udało. Po drugie – szkole nigdy się to nie udało nie dlatego, że źle działa, ale dlatego, że to niemożliwe. I po trzecie (wersja radykalna) – szkole nie może się to udać, bo zaprojektowano ją właśnie tak, by było to niemożliwe. Brzmi strasznie, prawda? W myśl tego założenia nie chodzi o pełen zakres kompetencji i samodzielność na rynku pracy. Chodzi raczej o to, by wykształcić pewną postawę: posłuszeństwa, posłuchu, bierności czy nawet bezrefleksyjności.

Jest jednak dobra wiadomość: tak było. Ale wcale nie musi być tak dalej. Posłuszny i karny pracownik to relikwyt epoki industrialnej, mięso armatnie w trybach upchanych maszynami fabryk. Dziś, w czasach postindustrialnych, dominuje już inny model produkcji. Życie spędza się w maszynowni innego rodzaju: przed komputerem, czyli w fabryce informacji. Co więcej, szkoła – choć może i się stara – ma coraz większe problemy z przygotowaniem narybku do życia w środowisku, którego naturą jest nieustanna zmiana.

Uświadomiwszy sobie ten prosty fakt zastanawiam się czasem nad pracą szkolnego doradcy zawodowego. Mam wrażenie, że za biurkiem tego człowieka ogniskuje się kilka krytycznych procesów: oczekiwania uczniów, rodziców oraz pracodawców, które okazują się na dłuższą metę niemożliwe do pogodzenia – dlaczego?

Młodzież żyje dziś w permanentnym stresie. Z moich rozmów ze studentami wynika, że praca, jej znalezienie, staje się absolutnie nadrzędną wartością, czymś, co definiuje cały proces edukacji. Praca jest jednocześnie tym, co definiuje ich samych: dobra praca jest potwierdzeniem ich wartości. Praca zła – świadczy zaś o nieudanym życiu. Co więcej, w środowisku szkoły funkcjonuje tzw. paradoks ucznia. Uczeń ma za zadanie: wysypiać się, dobrze się uczyć i mieć kolegów. Jednak jeśli postawi na wysokie stopnie i życie towarzyskie – musi liczyć się z niedoborami snu. Jeśli chce się wysypiać i dobrze uczyć – nie starczy mu czasu na kultywowanie znajomości. A jeśli chce być wyspany i funkcjonować w grupie znajomych, prawdopodobnie „zawali” naukę. W innym miejscu pisałem, całkiem niedawno, że na ów paradoks należy jeszcze nałożyć czwarty obszar: wymóg ogólnego bycia super.

Ogólne bycie super to swoista „metanarracja”, paradygmat, który nadaje sens większości działań młodych ludzi. Pragnienie bycia podziwianym stymulowane jest umiejętnie przez rynek i media społecznościowe. Gotowość do wpisywania się w ogólną modę staje się powszechna a wśród internautów jednym z najwyższych priorytetów jest odpowiednie zarządzanie sobą: tworzenie interesującego profilu, wciągającego *contentu*, kolekcjonowanie zdjęć do prywatnej galerii dokumentujących ciekawe życie (związki, podróże, imprezy, zakupy etc.), chwalenie się formą spędzania wolnego czasu i tak dalej. Ideały kultury masowej są jeszcze odpowiednio podlewane nawozem wprost z

programów w stylu *reality show*, które są najprawdziwszymi kuźniami celebrytów, gdzie „ludzie tacy jak my” startują z rozwojem oszałamiającej (choć często krótkotrwałej) kariery. Skoro nie można być drugim Kubą Wojewódzkim, pozostaje zrobić karierę w zawodzie. Tym samym, odpowiednia praca również jest ważną częścią składową owego „bycia super”. Problem z tym, że z owym paradygmatem kompletnie nie współgrają oczekiwania pracodawców, którym absolutnie nie marzy się zatrudnianie domorosłych celebrytów mających od razu chrapkę na fotel wiceprezesa zarządu. Marzy im się natomiast znalezienie – trudno się dziwić – pracownika jak najtańszego. Wówczas też okazuje się, że młode pokolenie i rynek mówią zupełnie innym językiem.

I właśnie w miejscu, w którym te oczekiwania boleśnie się ścierają i znoszą – zmuszony jest funkcjonować szkolny doradca zawodowy. Ilekroć myślę o trudach tego zadania, odczuwam tym większy szacunek i współczucie. Przed człowiekiem tym postawiono bowiem karkołomne zadanie oceny kompetencji ucznia i dopasowania ich do wymogów rynku. Biorąc pod uwagę wiek zainteresowanych, ocena ta siłą rzeczy musi być niekompletna, wrywkowa i na dłuższą metę niepewna. Nie inaczej jest w przypadku zawodów, które doradca może proponować. Nie od dziś wiadomo przecież, że w chwili gdy dzisiejszy uczeń skończy studia, rzeczywistość zawodowa przepoczwarzy się i to pewnie niejednokrotnie, skutkiem czego wcześniejsze prognozy okażą się niewarte funta kłaków. A przecież każdy – i uczeń, i pracodawca – chciałby być przy tym maksymalnie zadowolony.

Nie mogę jednak uwolnić się od wrażenia, że szkolny doradca zawodowy powinien mieć znacznie szerszy – a może lepiej powiedzieć: zupełnie inny – zakres obowiązków. Z prostego powodu. Lubię czasem uruchomić perspektywę „antropologa z Marsa”, hipotetycznego badacza, który obserwuje ludzi zupełnie tak, jak obserwowałby każdy inny gatunek zwierząt. Spoglądając na nasze społeczeństwo z odpowiedniej „wysokości” można z łatwością dojść do wniosku, że ludzie Zachodu rodzą się, aby pracować. A z pewnością taki wniosek narzuca się z obserwacji szkół i ich założeń: istotą procesu jest przygotowanie młodych ludzi do wykonywania zawodu. Sądzę, że z założeniami tymi można by się nawet zgodzić, ale jakieś 150 lat temu, kiedy edukacja masowa stawiała pierwsze kroki i faktycznie nastawiona była na kształcenie robotników oraz urzędników. Dziś jednak podobna ideologia może prowadzić jedynie do wyniszczającego wyścigu szczurów, który w niedługim czasie skutkuje rozpadem więzi, rozwodami, samobójstwami, depresją. Nie jest zatem pustym chwytem publicystycznym założyć, że szkoła powinna uczyć szczęśliwego życia, w którym kwestii „spełnienia” nie mierzy się wyłącznie społeczno-zawodową przydatnością. Szkolny doradca zawodowy powinien przepoczwarzyć się w doradcę samowiedzy. Taki doradca nie tylko pozwala odkryć ukryty potencjał i pokierować jego rozwojem, skupia się również na tym, co niekoniecznie da się zmonetyzować, kładzie nacisk na budowanie relacji społecznych, empatii, radzenia sobie ze stresem swoim i innych, uczy przewartościowywania konsumpcyjnych priorytetów, dystansu do medialnego przekazu, niezależnego myślenia. Brzmi jak sen wariata? Uważam, że jest to kwestia czasu. Niedługiego w elitarnych szkołach prywatnych, nieco dłuższego w darmowym kształceniu powszechnym.

Tytułem puenty. Niedawno w teleturnieju „Milionerzy” padło pytanie o to, kogo wita się „pępkowym”. Gracz długo wahał się pomiędzy „nowonarodzonym członkiem rodziny” a „nowym pracownikiem”. To wahanie wydało mi się na swój sposób symptomatyczne. W gruncie rzeczy – pomyślałem – zmierzamy w stronę, gdzie niedługo nie będzie już między tymi kategoriami dużej różnicy. Może zatem pępkowym będziemy niebawem witać „narodziny nowego pracownika”? Czas pokaże.